

ANETA JADOWSKA



*Seria o Dorze Wilk*

**W WILKU**

**W OWCZEJ SKÓRZE**

# Aneta Jadowska "Wilk w owczej skórze" (fragment I)

Fahrenheit Crew



Powoli zaczynało zmierzchać, kiedy dotarłam do centrum Thornu. Pieszko, bo wciąż nie mogłam się zdobyć na sprowadzenie do Thornu auta. Prowadzenie w realnym mieście było dla mnie koszmarem, tu chyba bym zwariowała. Nikt nie przestrzega przepisów drogowych, a skrzyżowania wyglądają jak w Delhi. Na szczęście aut jest znacznie mniej. Zerknęłam na zegarek, dochodziła osiemnasta. W sam raz, by wpaść do Hadesu i popytać o chłopaka Claudii, i może nawet spotkać ją, przycupniętą przy barze. Nie zdziwiłabym się, gdybym ją tam zobaczyła. Zasupełniej kurtkę i otuliłam szyję szalikiem, chroniąc się przed wilgotnym chłodem październikowego wieczoru. Miałam nadzieję, że nie zacznie padać, ale wiele wskazywało na to, że spełźnie ona na niczym i w najlepszym wypadku w nocy, kiedy będę już pod dachem, lunie. Przyspieszyłam kroku, by jak najszybciej dotrzeć do bramy. Ledwie przekroczyłam progi realnego miasta, kiedy uporczywy sygnał SMS-a przypomniał mi, że już jestem w zasięgu sieci komórkowych. Zerknęłam na zielonkawy ekranik wysłużonej Nokii. Siedem nieodebranych połączeń, wszystkie od jednej osoby. Uśmiechnęłam się, rozpoznając numer.

- Cześć, Witkacy, stęskniłeś się? - zapytałam, kiedy odebrał połączenie.

- Cholera, nie przyzwyczaję się do tego, że w kółko jesteś poza zasięgiem. Już miałem iść cię szukać, ale sama wiesz - mruknął. Coś w jego głosie sprawiło, że się usztywniłam.

- Jasne, jeszcze nie przywykłeś do wizyt w Thornie, z czasem to będzie naturalne jak oddychanie - rzuciłam lekko, czekając na to, co za chwilę powie.

Od niedawna wiedział, że jest magiczny i nie minął jeszcze tydzień, odkąd pierwszy raz odwiedził mnie w alternatywnym mieście. Wciąż nie czuł się komfortowo z zaklęciem, które dawało mu dostęp do portalu. Z jednej strony czuł podekscytowanie, że ten rozpoznaje w nim istotę magiczną, a z drugiej bał się, że coś popłaczę i zamiast na brukowanej uliczce Thornu wyląduję Bogini wie gdzie. Może nie powinnam go ostrzegać przed taką ewentualnością... W każdym razie wołał mieć towarzystwo, kiedy przekraczał bramę.

- Mam problem, Ti - powiedział cicho. - Spotkajmy się przy Pilonie, dobra? Za dziesięć minut?

- Jestem w okolicy, będę za pięć.

Odetchnął z wyraźną ulgą i rozłączył się bez pożegnania. Wolałam unikać teraz Szerokiej, śpieszyło mi się, a godzina była taka, że coraz liczniejsi studenci i mieszkańcy miasta wylegali do restauracji czy knajp. Ulica tętniła własnym, niespiesznym rytmem, mniej zorganizowanym niż w przypadku turystów, bardziej leniwym i niefrasobliwym. Wybrałam nieco dłuższą, ale spokojniejszą trasę: Podmurną, Ciasną aż do Żeglarskiej, która kończyła się łukowatą bramą w murach obronnych wokół Starówki, wychodzącą na Bulwar Filadelfijski. Skręciłam w prawo, kierując się na filar mostu.

Pilon jest kultowym klubem punkowym, ulokowanym tuż pod mostem w starym bunkrze. Jeśli nie wiesz, gdzie szukać, miniesz go, zastanawiając się, czy czasem nie pomyliłaś adresu. Nierzucający się w oczy masyw bunkra, jednego z ponad dwustu schronów w naszym zawsze gotowym na apokalipsę mieście, masywne żelazne drzwi, gładko wtopione w ścianę. Żadnych szyldów, neonów, reklam piwa, tylko skromny napis czarną farbą nad wejściem. Jeśli masz pecha i akurat drzwi są zamknięte, doskonale tłumiąc hałas ze środka, możesz je minąć, wciąż nie wiedząc, że to tak blisko. Zwykle na parkingu kręci się sporo ludzi, ale było za wcześnie na koncert i na parkingu stała tylko jedna osoba. Z daleka rozpoznałam suchotniczą i przygarbioną sylwetkę mojego przyjaciela z policji. Wyglądał jak jeden z bohaterów książek Chandlera, w rozpiętym prochowcu, którego poły powiewały na wietrze. Zaciągał się papierosem, a spojrzenie utkwiał w jarzącej się końcówce, jakby liczył na małe objawienie.

- W teorii spodziewałem się, że to, co przede mną odkryłaś, zmieni moje życie, ale, cholera... - powiedział, nie patrząc w moją stronę.

- Co jest? - Przełknęłam kulę strachu.

- Nie spałem całą noc. Duchy. Jakbym nagle miał przyczepioną nad głową diodę „hej, tu jest facet, który was widzi, zwalcie na niego całe swoje nieszczęście”... Nie dawały mi spokoju, aż nie wygrzebałem się z wyrka i nie zgodziłem się pójść za nimi. Duchy są fatalne, jeśli idzie o orientację w terenie, nie wiem czy wiesz. Mają jakieś swoje zasady, terytoria, nie mogą iść tam, gdzie chcą, po prostu najkrótszą drogą, rozpraszają się łatwiej niż trzylatki, czasem zapominają, czego chcą, więc zajęło mi godziny, ale ją znalazłem...

- Trup?

- Nie inaczej, miła pani. Wyssany do sucha. Na podstawie tego, co już wiem o nadprzyrodzonych, powiedziałbym, że ktoś przesadził z kolacją i mamy martwą dziewczynę.

Przeklełam ciężko.

- Pokaż.

Bez zbędnych słów zaczął wspinać się po dość stromych białych schodach. Na wysokości około trzydziestu stopni był podest, a dalej jeszcze kilka schodów, wiodących na poziom Placu Rapackiego. Schody i murek, pomyślany jako wysoka balustrada, pełniły funkcję nocnego pisuaru - w Pilonie był jeden kibel i pod względem higieny niewiele odbiegał od schodów. Tu, przynajmniej w teorii, był dostęp do świeżego powietrza. W teorii. Zapach moczu był tak intensywny, że nie czułam nic innego. Witkacy musiał mi dokładnie pokazać, gdzie patrzeć. Wychyliłam się za sięgający mi powyżej pasa murek, zerkając w kącik utworzony przez schody, ścianę bunkra i mur. Rosnące z głupia frant drzewo dodatkowo utrudniało widoczność. Mogłaby leżeć tam tygodniami i nikt by jej nie znalazł. Zwykli Torunianie unikali tych schodów ze względu na smród. Ci, którym nie przeszkadzał, a nawet przyczyniali się do jego podtrzymania, byli zwykle dość pijani, by nie myśleć o wychylaniu się za mur i szukaniu guza. Przejście nad barierką wymagało zwinności i siły, a na tych pijanym zwykle zbywało.

Witkacy, mamrocząc coś pod nosem, ruszył za mną nad murem.

Leżała na ziemi, skulona, jakby spała. Spod plisowanej miniówki wystawały długie, chude nogi w paskowanych zakolanówkach. Brakowało jej jednego buta i podkulone palce w miękkiej skarpetce wyglądały tak cholernie niewinnie, że zaczęłam się obawiać, że trafiło mi się najgorsze, co może spotkać policjanta. Martwe dziecko. Kucnęłam przy niej i odgarnęłam czarne włosy z twarzy. Miała mocny makijaż, spod którego przebijała nienaturalna bledość. Ciemne oczy pokrywała biaława warstewka, szkląca się jak u lalki. Mogła mieć osiemnaście lat, choć niekoniecznie. Odruchowo dotknęłam powiek, by zamknąć jej oczy. Odchyliłam jej podbródek, by przyjrzeć się rozszarpanemu gardłu. Witkacy miał rację. To robota wampira, zbyt młodego, by się kontrolować, lub zbyt szalonego, by się tym przejmować. Uderzyły we mnie splątane, niezrozumiałe emocje, które zachowały się na ciele. Emocje mordercy i kogoś jeszcze. Nie ofiary. Przeszedł mnie dreszcz.

- Co mam robić? Dzwonić po ekipę? - zapytał Witkacy.

Oparłam dłonie o kolana i przez chwilę milczałam.

- Muszę powiadomić Romana. Policja tu nic nie wskóra, poza nami nikt nie wie, co spotkało dziewczynę.

- A jej rodzina?

- Roman będzie wiedział, jak to załatwić.

- Pewnie ma wprawę w ukrywaniu grzeszków.

Spojrzałam na Witkaca. Miał prawo bać się tej części świata, którą dopiero poznawał.

- Witkacy, możesz mi nie wierzyć, ale to pierwszy przypadek zabicia przez wampira, z jakim mam do czynienia przez ponad dekadę w tym mieście. Roman, jak większość mistrzów, nie toleruje takich wybryków, nie w epoce dobrowolnych dawców, banków krwi i zaawansowanych technik kryminalistycznych. Zaufaj mi, ten, kto to zrobił, będzie ukarany znacznie surowiej, niż byłby trafiwszy przed ludzki sąd.

- Nadnaturalne standardy?

- W naszych sądach wyrok śmierci oznacza śmierć, a kara może sięgać jeszcze w życie pozagrobowe, ku uciezce Gardiasza.

Przez chwilę patrzył mi w oczy, jakby szukał zapewnienia, że ciągle jestem po tej dobrej stronie i zależy mi na sprawiedliwości dla tej dziewczyny. Że nie zamierzam zamaskować wszystkiego dla dobra „mojego ludu”. Roman z pewnością nie był moim ludem. Ale były pewne procedury, których Witkacy dopiero się miał nauczyć. I właśnie miał przyspieszony kurs.

- Ufam ci, Ti, po prostu... Widziałem ją z innymi... Przeprowadzili ją do mnie, bym znalazł ciało i pomścił ją. Była na wpół szalona, bardziej niż inne duchy... Ten, kto to zrobił, zniszczył coś więcej niż ciało.

Wstałam i objęłam go ciasno. Pachniał tytoniem z domieszkami, które były słodką tajemnicą Witkaca. Z westchnieniem przyjął pociechę, jaką mu oferowałam. Jego kilkudniowy zarost otarł mi się o policzki z delikatnością papieru ściernego.

- I co dalej? Co robimy? - zapytał z taką bezradnością w głosie, że ścisnął mi się żołądek.

Zanotowałam sobie w pamięci, że muszę wygospodarować trochę czasu tylko dla niego, pomóc mu się oswoić, bo podejrzewałam, że był na granicy obłądu. Może łatwiej znieść takie rewelacje, jakich doświadczył, kiedy jest się dzieckiem, lub ma się osiemnaście lat. On dobiegał czterdziestki. Miał popieprzone życie, ale wiedział, mniej więcej, na czym stoi.

- Zostaniesz tu chwilę, ja sprowadzę Romana. Gdy się pojawi, znikaj, wciąż jest szansa, że jeszcze o tobie nie wiedzą i niech tak pozostanie, póki nie przejdziesz szkolenia w Trójprzymierzu, dobra?

Wolałam uniknąć sytuacji, w których Roman uznałby, że ma obowiązek pogrzebać w głowie mojego kumpla, by usunąć mu kilka wspomnień. Zapewne kilka więcej, niż byłoby to konieczne i mogłoby mnie na przykład nie rozpoznać na ulicy. Aby go czymś zająć, poprosiłam go o sprawdzenie dla mnie kilku rzeczy.